

nie mam pojęcia czy i gdzie istnieje dziś jeszcze, ale takie były przepisy urzędowe i mam tylko parę listów wyjątkowo pięknych, kilka wierszowanych oraz te zdjęcia lokali, które pozwolono mi zatrzymać dla siebie. Kiedyś może je opublikuję.

JJ – Otrzymywane upominki i listy były dowodem, iż Państwa praca jest potrzebna. Słuchacze w ten sposób wyrażali swoją sympatię do radia, do którego dostęp utrudniany był w kraju. Państwa programy nie pozostawały bez echa. Czy lubiła Pani swoją pracę w Głosie Ameryki?

ZK – Nie tylko lubiłam, ale czerpałam z niej dużą satysfakcję. Wprawdzie wynagrodzenie było kiepskie, warunki pracy dosyć trudne – jeśli chodzi o lokal, godziny pracy i tym podobne, ale miałam zapewnioną łączność z krajem i łączność z życiem politycznym Waszyngtonu. Pasowało to nie tylko do moich zamiłowań, lecz również do roboty niepodległościowej, którą kontynuował mój mąż w USA. Mogłam być w dalszym ciągu pomocna i potrzebna w tej naszej misji. Teraz takie wynurzenia brzmią górnołotnie, wtedy jednak brzmiały naturalnie, gdyż taka była postawa, nie tylko nasza, lecz całego pokolenia wychowanków Dwudziestolecia Niepodległości Drugiej Rzeczypospolitej.

JJ – W Głosie Ameryki przepracowała Pani jako etatowy pracownik 32 lata. Po przejściu na emeryturę jeszcze przez kilka lat mogliśmy usłyszeć Panią na antenie. Rozmowę naszą skoncentrowaliśmy głównie na pierwszych, najtrudniejszych latach Sekcji Polskiej, ale przecież Pani związana była z radiem również w okresie późniejszym. Czy Głos Ameryki zmienił się po Zimnej Wojnie?

ZK – Oczywiście, że tak. Było to nieuniknione. Przyszły inne czasy, inne cele i zadania, inni ludzie. Nadal służył dobrze polskim interesom i wielka szkoda, że się „rozleciał”. A swoją drogą okresowi Głosu Ameryki jako narzędziu walki Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców w Zimnej